

— Co? to ten rudy olbrzym? To niemożliwe! To bydlę byłoby moim kolegą? Oho! Nie można mu nic zarzucić. Ładnie pracuje!

— To napewno on, bo podobno był bardzo niezadowolony, że ten „wspólnik...”

— Panie szefie! przecież już wiadomo...

— A więc ten, który sobie z niego zadzwiał, wymknął się mu z rąk. Cała ta historia jest nieprzyjemna i drażliwa. Nie mogłem przecie rozwiązać im zagadki, bo nie chcę tego, skoro postanowiliśmy prowadzić tajemne śledztwo... prywatnie zupełnie. Do ciebie więc, Jaminot, należy, abys się postarał teraz zmienić powierzchowność tak, ażeby cię nie poznano.

— Aha, mam wleść w inną skórę... natychmiast!

— Niema gwałtu! Tutaj cię szukać, zdaje się, już nie będą. A ponieważ udamy się na kolej razem w powozie...

— A więc jedziemy? To lepiej... Tutejszy klimat zaczyna mi czegoś nie służyć.

— Nie mamy w Antwerpii nic więcej do czynienia. Tutaj obiecali mi, że się zajmą ową Hortensyą i będą mnie uwiadamyli o najdrobniejszym wypadku.

— Żal mi trochę kolegi po fachu. Biedaczysko, będzie napróżno darł buty po bruku... Aha! mam sposób!

— Jaki?

— Sposób, który pomoże, a nie zaszkodzi. Wyszedł do gospodarza tego szynku kartkę pocztową (takie kartki zazwyczaj nie tylko adresaci czytają) z podziękowaniem, że jestem mu bardzo wdzięczny za jego usługi, ale już ich nie potrzebuję. To będzie trochę niejasne, nie będzie wiadział napewno, czy odpłynąłem, czy też zostałem. I tym sposobem zmylę ich...

— Phi! Jeżeli ci na tem zależy, to rób, jak uważasz. Choć przyznam ci się, że koncept wcale nie nadzwyczajny.

— Pewnie. Ale taki zwykły objaw grzeczności, przypuszczam, nie zaprowadzi nikogo na szubienicę.

Tego samego dnia Cardec i Jaminot, nie doznawszy żadnej przygody, powracali do Paryża.

ROZDZIAŁ XI.

Niepokój pana Noileau.

Wszystkie te podróże, zmęczenia i troski, nie przynosiły ostatecznie żadnego poważnego rezultatu... Ciągłe jeszcze szukano w ciemnościach, a nawet brnięto w nich coraz więcej z powodu człowieka z blizną pod okiem, za którego śladem iść trzeba było, choć nie wiadzano, jaką on mógł rolę grać w owym dramacie.

Gdyby choć było można uchwycić go i przekonać się, że się było na mylnej drodze. Przynajmniej z tej strony byłby już spokój. Ale nie! Tydzień upływał za tygodniem, miesiąc za miesiącem. Rozwód oskarżonego Germonpré'a był już ogłoszony, on sam zaś z dniem każdym zmieniał się do niepoznania. Oczy głęboko wpadnięte i otoczone siną obwódką błyszczały gorączkowo; twarz wychudła uwydatniała kości policzkowe. Schudł jak szkielec, wysoka jego postać zaczynała chylić się ku ziemi. Lecz prostował się siłą woli, gdy go prowadzono do gabinetu p. Noileau, lub gdy przyjmował w celi odwiedzin swego adwokata lub dyrektora więzienia. Przez te kilka miesięcy wyłysiał zupełnie. Długa, rzadka i źle utrzymana broda, nadawała twarzy ostrzejszy jeszcze i chorobliwy wyraz.

Widocznem było, że był wrażliwszej, czy też słabszej konstrukcji, niż Berton-Morinval, o którym bezustannie pomimo woli myślał! A jednak myśl jego z dniem każdym coraz uporczywiej do niego się zwracała. A czy tu można było mówić o jakiejś analogii w położeniu?

Germonpré był niewinny i uważał, że przedstawiciele sprawiedliwości lekceważą sobie jego sprawę, zadając mu rozmyślnie te katusze. Jakże można było wieść przemocą człowieka, który nic złego nie uczynił? I to na podstawie mylnych dowodów! Czemże są właściwie dowody? Dowiedzionymi faktami, nie podlegającymi rozstrząsaniu!...

Jakież były te dowody, skoro nie mogły istnieć wcale?

I w ten sposób lekkomyślnie bawiono się honorem, wolnością i całą egzystencją niewinnego człowieka. Czy nie było to potworne?

Raz lekarz przyszedł zbadać oskarżonego. Znalazł go bardzo osłabionym; ciało zamierało stopniowo pod wpływem chorobliwego umysłu. Jedyne lekarstwo, mogące przynieść ulgę, było niemożliwe do przepisania. Choremu potrzeba było dużo świeżego powietrza, swobody, wolności i zakończenia nareszcie tych wszystkich tortur moralnych, których doświadczał. A do tego było jeszcze bardzo daleko.

Był już kwiecień. Trupy zamordowanych i rozpoznanych ofiar dawno już były pod ziemią. Poza tem nic więcej nie uczyniono. Sprawiedliwość miała „ładny kawałek“ na głowie, jak się wyrażał Jaminot.

A fantastyczny Gruby Ludwik, zapewne przez nadzwyczajną skromność, nie kazał się nigdzie fotografować, to też nikt dotąd nie miał przyjemno-

bywać widocznie w towarzystwie markiz i hrabin!...

A co do sutenerów, z którymi go spotykano po szynkach, to przecie mógł sobie przebywać do woli z ludźmi, którzy mu nic złego nie robili. Tembardziej, że ich rozmowy dowcipne i swobodne bardzo go interesowały. Że z nimi przebywał, to jeszcze nie racya, że należał do nich. Ostatecznie był to chłopak bardzo podejrzany, ale sprytny i kuty na cztery nogi.

Z powodu znamienia na twarzy, odszukanie go zdawało się na pozór łatwem. Policja paryska jednak przeszukała na próżno hotele, szpitale, więzienia... Nigdzie Gruby Ludwik nie był znany!

Mając pewne podejrzenia, że był w stosunkach z Bélacem, poddano ścisłej rewizji domy osławionych lichwiarzy i ich wspólników.

— On się chyba nazywa Kameleon! — zawołał raz Jaminot, doprowadzony do ostateczności.

W końcu zgodzono się na jedno, że prawdopodobnie poszukiwany Gruby Ludwik musiał opuścić Francję. I tem dziwniejsze były te poszukiwania, że nie wiadzano, czy przyniosą one jakie fakta, mogące rozświecić sprawę.

Pan Noileau, zawsze cierpliwy, systematyczny, zamęczał teraz oskarżonego, starając się koniecznie wydobyć z niego jakie zeznania. Milezenie Germonpré'a brał za podstęp, lub też zboczenie umysłowe. Dlaczego nie chciał się on przyznać? Bo właściwie nie było się co łudzić co do winy oskarżonego. Znalaziono go w pokoju, do którego nikt inny wejść nie mógł, gdyż był z zewnątrz na klucz zamknięty, samego z zamordowanymi ofiarami. A co znaczyć miały ów skrwawiony sztylet, znaleziony w kieszeni jego surduta? Czy mógł temu oskarżony zaprzeczyć? Mógłby przecie dać jakieś objaśnienie, wytłómaczenie, ale nie wypierać się uparcie wszystkiego. Niechże więc, jeżeli jest niewinny, przedstawi sędziemu realny, pewny dowód tej niewinności!

Zajęty i zdenerwowany tą nieścisłością sprawą, która pozbawiała go snu i spokoju, sędzia Noileau nie dostrzegł chorobliwego stanu oskarżonego. A przytem widując go dość często, nie zauważył zmiany wyglądu, spowodowanego chorobą.

W tym to czasie spokój i rozważa p. Noileau były wystawione na poważne próby. Zbliżał się dzień ślubu Jerzego d'Armoy z Alicyą Morinval. Berton-Morinval z córką wybrali się do Paryża celem porobienia potrzebnych do wyprawy zakupów.

Pan Noileau, jako były opiekun Jerzego, pomimo swoich kłopotów i braku czasu, był zmuszony stykać się z rodziną Morinval w czasie jej pobytu w Paryżu.

I oto dziwnym zbiegiem okoliczności Noileau miał w rękach los człowieka, który swojego czasu wyrządził był taką straszną krzywdę w podobnych zupełnie warunkach przyszłemu teściowi jego ukochanego pupila i młodego przyjaciela Jerzego d'Armoy.

Przy pierwszym spotkaniu z Berton-Morinvałem, jakgdyby to była rzecz z dawna umówiona, nie wspomniano nawet o oskarżonym Germonpré. Dopiero pewnego dnia, w przeddzień odjazdu Morinvala do Chalon, przy końcu obiadu wybuchła burza, której tak się Noileau obawiał. Powód do niej dała jakaś wzmianka o sprawie Germonpré'a, czytana w dzienniku. Przemysłowiec poważnie, dobierając z rozmysłem słów, nie wchodząc w przyczyny i dowody, mogące powodować opinię przedstawicieli sprawiedliwości, zaznaczył swoje niezbite moralne przekonanie o niewinności oskarżonego, przekonanie, którego się nie wyrzeknie aż do chwili, gdy winą jego okaże się jasna i pewna.

Bezwiednie tem wystąpieniem Berton-Morinval potępiał sposób prowadzenia sprawy sędziego Noileau. Tenże z brwią ściągniętą, zimny, zdenerwowany, słuchał w milczeniu, chcąc tym sposobem zakończyć tak niemiłą i drażliwą dla siebie rozmowę.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Raz lekarz przyszedł zbadać oskarżonego. Znalazł go bardzo osłabionym....

ści oglądać jego sympatycznej twarzy. Gruby Ludwik stawał się więc legendową postacią. Policja belgijska donosiła, że miał on papiery swoje w porządku: nazywał się Condrain, ale bardzo często przyjaciele nazywali go Larty, a w jakiejś niejasnej sprawie występował znowu jako Corel, a ileż nazwisk jego było nieznanych! I choć było to bardzo podejrzane, to jednak nikt nie mógł mu zabronić używania pseudonimów do roli.

Jako agent teatralny podpisywał się nazwiskiem Condrain, które miano za prawdziwe; jak dotąd, sprawował się tak ostrożnie, że policja pomimo chęci nie mogła mu nic konkretnego zarzucić. Zauważono tylko, że te kobiety, którym pośredniczył, znikwały z horyzontu, o ile naturalnie były młode i ładne. Gdy mu o nich wspomniano, odpowiadał obojętnie, że pewnie dostały angagement gdzieś indziej — a on nie miał obowiązku strzedz ich cnoty.

Duża ilość robotnic, bon, dziewcząt z fabryk, z którymi żył krótki czas, znikły nagle, bez śladu. Zapewne dostały lepsze utrzymanie u kogo innego. Zauważano go często w towarzystwie dziewcząt publicznych ostatniego rzędu. Czy mu to było wzbronione? Zresztą trudno, nie mógł prze-